



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

### NA STEPIE.

Noc błękitnieje w oddali  
 Na widnokręgów podkowie,  
 Jak błysk bladego zwierciadła  
 W napoły mrocznej alkoewel!...

Step dymi modrym płomieniem,  
 Wiatr to się ocknie—to zdrzemnie.  
 Cienie biegają po ziemi,  
 Niby się gonią wzajemnie!...

Ja idę—i czuję sercem,  
 Jak w ziemi rodzą się czary,  
 Ja idę—i wierzę senny,  
 Że step—bez końca, bez miary!...

I piję tchy nieskończenia,  
 I radość w piersi mi płacze,  
 I strach mię jeno zdejmuję,  
 Że koniec stepu zobaczę!...

Bolesław<sup>2</sup> Leśmian.

### SOBIESKI POD WIEDNIEM

(przez Deotymę).

„Jeden jest tylko Bóg i prorok Jego—Mahomet!...”

Z piaszczystych pustyń Arabii szedł rydwan zwycięzki wyznawców Mahometa, potracił o ład czarnego kontyentu, zajrzał w serca Piramid, zielonym turbanem Hiszpanią całą nakrył, ziemię i morza pod swoje władztwo zagarnął, strącił krzyż grecki ze świątyni starożytnego Bizancjum i pytał:

— „Gdzie Roma?...”

Jedną stać nogą w progach Europy,  
 To niedość! Póki ze szczytów kościoła  
 Watykańskiego Muezzin nie woła —  
 Póki on, Islam, nie opiera stopy  
 Na owem świata sercu tajemniczem—  
 Wszystko, co zdobył, zdaje się mu niczem.

I geniusz wywrotów, podboju i krwi jak noc spochmurniał, bo jeszcze, niemal równym mu blaskiem potęgi świeciła korona Cezarów, bo za Dunajem rozciągały się ziemie państw chrześcijańskich, a nad Dunajem, druga po Rzymie stolica świata nietknięta dotąd, nie nawiedzana dotąd była przez niezwykłe pułki Mahmudów i Bajazydów... Niech Wiedeń padnie, a resztę świata już strach przywiedzie do kolan zdobywcy.

I nie mylił się geniusz Islamu—przez Wiedeń były wrota do serca Europy.

Na chmurze czerwonej, dawszy duchom ponurym rozkaz, by wezwały świat muzułmański do bojów nowych i nowych zaborów, ulata nad brzegi Bosforu. tego „słowika“ stolicy Padyszachów, gdzie w objęciu snów rozkosznych spoczywał syn słońca, brat księżycy, prawy potomek Proroka a postrach świata chrześcijańskiego. Nawiedzony snami nowych podbojów i zwycięstw—ocknął się sułtan...

Stu żądzami smagan

Z puchów rozkoszy powstał jak huragan—  
 Wziął chustę—cisnął na Zachodnie kraje:  
 Cały Wschód zbudził jednym rzutem oka  
 I wezyrowi czarnemu oddaje  
 Zielony sztandar proroka.

Szybki jak błyskawica, straszny jak grom, ciągnie „z hufcami stunarodowemi“ Wielki Wezyr Kara-Mustafa. Nie masz siły, która by się oparła temu wylewowi muzułmańskiego morza—pobudza go Anioł mordu, zostawiając za sobą zgliszcza i ruiny, idący wciąż naprzód i naprzód przy akompaniamencie surm, szeleście wichrów, krwawej łunie pożarów, przy wrzasku rżniętych ciał, wśród bryzgów krwi i nieskończonych lamentów grozy i przerażenia.—Popłoch ogarnia pół świata, szelesty zielonego sztandaru Proroka papieżki Rzym słyszy, trwoga na ziemi... i w niebie—trwoga!...

Nie hufce aniołów mogą przyjść w pomoc światu. Ludy zamieszkujące ziemię, naznaczone chryzmatem wiary Chrystusowej, same sobie przyjść muszą z pomocą, krzyż przeciw półksiężycowi postawić, wiarę przeciw wierze, potęgę przeciw potędze, miecze swoje na krzywe szable tureckie położyć, zwyciężyć—albo zginąć. Leczą które z państw europejskich, wyznających Chrystusa, weźmie dó rąk swych ten kielich ofiary? Jaki mocarz świata, bez chwili wahania, bez

dreszczu trwogi rzuci się na pułki krociowe rozszalałych zwycięstwem zastępów muzułmańskich? Kto, bez rachuby zysków ziemskich, wiedziony li tylko ideą obrony krzyża, ideą chrześcijańskiej, pomocy uciemienionemu bratu tron swój i państwo swoje rzuci na szalę losów niepewnych?...

I trwoga była w niebie. Przed majestatem bożym stał przerażony Anioł Germanii, szepeąc: — „Zbawicielu!... Spójrz!... Ratunku!“

I chmurą się okryła czoło Chrystusa, — bo przez usta tego wysłańca ziemi przemawiał strach ziemi, bo w rozpaczliwym wołaniu: Ratunku! nie było wiary w pomoc bratnich ludów, bo na swych skrzydłach przynosił on woń krwi, bezdenne powiew smutku i zwątpienie bezdenne.

— Anioły, ludów moich strażel! — odzywa się Chrystus. — Nadszedł czas meżtwa waszego. Kto wstanie z was i pójdzie, by dźwignąć krzyż mój z poniewierki, gasnącą pochodnię prawdy rozpalic?

Ale anioły ludów ziemskich okropnym milczeniem odpowiedziały Panu. Daremno Anioł Germanii „przerażeniem zdjęty, zagłada im w oczy“ — milczą. On o ludach berłu swemu podległych nie już nie mówi, tam bezden rozpaczy, nieskończoność trwogi, otchłań zwątpienia.

Nakoniec powstał Anioł Wiary. Miał czoło z marmuru, na piersi krzyż świetlany, nad sobą trzy słońca o kształtach tjary. „Włos mu wonieje od róż i konwalji, Rafaelicznie opływa go szata. — Pokłon — to Anioł Italii.“

Ale, promienny zawsze, spochmurniał teraz przed Chrystusowym tronem stanąwszy.

„Cóż pocznę, ja — Piotrowej łodzi sternik strojskany? Mogę dać złoto i modły — nic więcej. Rzym już zwycięzców nie rodzi!“

Modły i złoto! — gdy tu potrzeba ofiary z krwi i życia.

I znów posmutniał Wybawiciel świata, patrząc na gwoździe, na włócznię i na krzyż swój. Spojrzenie Chrystusa zatrzymało się na Aniele Życia, którego płaszcz był w lilii białe ubrany, który „trąbą Rolandową rozbudza ludy, myśli i odkrycia a kiedy skrzydły szalonymi leci wywraca słupy graniczne stuleci!“ Pierwszy do walk — „najpierwszy do wstępu na mur przyszłości.“ To anioł Francji, — której król zwany jest „Synem najstarszym kościoła.“ On zawodu nie robi światu.

Lecz anioł struchlał i runął na kolana.

— Król mój — wyszeptał — jest w rozterce z domem Habsburgów. — „Płacz Wiednia głaszcze mu serce!“

Syn kościoła nie idzie w pomoc krzyżowi?

Odwrócił Pan oczy od zbołałego anioła Francji i przeniósł wzrok na innego ducha, który olbrzymie miał skrzydła, a opierał je o dwie półkule świata. W rękę trzymał miecz Cyda, zapatrzony w Boga „oczami Świętej Teresy.“ Zwanego go aniołem potęgi, Hiszpania jego hołdownicą było.

— Nie karz mię, Chryste — rzekł — gdy naród mój do tej walki nie stanie. Skrzydła mu już ocięły, szczęście go zgniotło zjadliwej od dżumy. — „Dziś do krucjaty już ten lud za słaby, struły go łyzy Montezumy!“

Pan skierował wzrok swój ku aniołowi Woli, który stał wsparty o kotwicę, trzymając w ręce prawej Kartę groźną „gdzie Wolność wielkie wypisała słowo. Jeszcze nie oschły jej głoski czerwone, — u złotych włosów przewiązał różową z indyjskich pereł koronę.“

To Anioł Anglii. — Lecz on zajęty jest połowem skarbów na morzach dalekich — szum oceanowych fal zagłusza wołanie wszelkie. Lud tego anioła jest serca pozbawion, wyparł się Rzymu, nie go już Rzym nie obchodzi, a bez zapłaty — krwi swojej nie poświęca,

W te same niemal słowa, odezwał się i Anioł Hartu, który był Aniołem Skandynawii o płaszczu malowanym zorzą północną, dyademie z lodowców, ukoronowany gwiazdami trzema.

— Tylko płakać mogę — rzekł — I mój lud zapomniał głosu pasterza.

A zatem Wiedeń ma zginąć, po Rzymie druga stolica chrześcijaństwa?

Stało przed tronem Pana dużo jeszcze aniołów dzierzących „państwa pomniejszej powagi,“ lecz

oni już wystąpić nie śmieli, i „zakrywszy oczy szafirami modremi, uciekli w głębie anielskiego gmachu. Nikt się nie ruszył. — Od nieba do ziemi zapadła cisza przestrochu.“

Anioł Germanii opuszczony został — Chrystusowi zabolowały rany dawnego męczeństwa.

Lecz oto nagle rozstąpiły się szeregi posępnych aniołów, przed Panem nowy duch stanął — Anioł Poświęcenia. Z twarzy mu patrzy zgroza. — „Po co rozmyślać? — zawołał. — Najprościej czynić, co stoi w rycerskim zakonie. Ja — o, mój Boże! pójdę — i obronię!“

I zajaśniała twarz Chrystusowa i rzekł: — „Znam cię najofiarniejszy pomiędzy niebiany Aniele Polski!“ — Idź — krzyż mój ratuj i świat. „Ludzie twojej ofiary zapomną, lecz ja niezapomnę o niej!“

Otoczyli aniołowie ludów wszystkich brata, który rzekł: pójdę lecz „trwoga ich dręczy i głos przycisza.“ — Śmiały jest, za śmiały może; — kto wie — czy zbawi drugich, a i sam jeńcem nie zostanie? Z okrzykiem tylko radości Anioł Germanii w ramiona mu padł, do lotu przynagła, ale i jego strach nagły ogarnia.

— Co będzie — pyta — gdy sam pójdziesz? gdy nikt za tobą nie ruszy — wiesz — że ty jaka moc jest nieprzyjaciół?

— Nie liczę wrogów — odpowiada Anioł Polonii, odziewając się w szatę ognistą. A jaka jego postać cudowna, — przewyższająca sny wszystkie, o jakich piękność marzy.

Najprześlicniejszy on między Anioły.

Już od świtania obsypał swe włosy  
W arkoński bursztyn i kruszwickie pszczoły,  
Potem na wianek od Piastów brał kłosa,  
Pomieszał z niemi róże Jagiellonów  
I miecz wykopał z tatarskich zagonów.  
Czarnoleskiego pieśniemi słowika  
Z Aniołem włoskim śpiewa na wyścigi —  
U czoła nosi gwiazdę Kopernika,  
A w łonie — serce Jadwigi.

Wzniósł się, wionął skrzydłem srebrzystem i spadł na Karpaty.

To się działo „Między niebem, a ziemią“ w chwili najstraszniejszej dla chrześcijańskiego świata, gdy krociowe wojska Kara-Mustafy załazały ziemie wszystkie słowian południowych, przeszły Węgry i czołem uderzyły o mur broniącego się z rozpaczą Wiednia.

Sobieski spieszył na odsiecz zagrożonej stolicy, pod jego komendą miały przejść pułki cesarskie i książąt Rzeszy, ale ściągali się opieszale, niechętnie, bez wiary w zwycięstwo, przerażeni rozpędem wojsk muzułmańskich i liczbą ich niezliczoną. Cesarz umknął do Linczu, obronę Wiednia oddawszy Stahrembergowi, który rachował tylko na pomoc Bożą i przyjsie bohatera z pod Chocimia i Żórawna.

I bohater nie zawiódł. — Posłowie z Wiednia i Rzymu wiedzieli do kogo się udać; — wiedzieli w czyich piersiach bije źródło prastarej wiary, czyste, ślepej, do której zastosowywała się cała polityka króla Jana, zdumiewająca bezinteresownością swoją, dająca mu rozgłos zrazu, później zaprzeczenie ofiary, potem zapomnienie zupełne, wreszcie — wołającą o pomstę do Boga — niewdzięczność.

„Ludzie zapomną twojej ofiary, ja nie zapomnę“ — mówi Chrystus przez usta poetki — i oto nowy punkt wiary, który dla pogrobowców sławy Janowej jest tarczą i puklerzem przeciw ostatecznemu zwątpieniu.

„Pod Hollabrunem“ zatrzymały się pułki królewskie, zanim wieść o nich doszła do Linczu i obleżonego Wiednia. Książęta Rzeszy nie wierzyli w tak szybkie przybycie króla polskiego i jeżeli jaka wieść głucha do uszu ich dobiegła, brali ją za wynik tego pragnienia przerażonego ludu, który, oczekując zbawcę, widzi przybycie w znakach na ziemi i na niebie, krzepi się wytworem własnej wyobraźni, wysiłkiem myśli wszystkich starając się przybliżyć dzień wybawienia. Właśni książęta nie spieszą na pomoc zagrożonej ojczyzny, a miałyby król obcy tak

rychło przybyć?... To też, gdy pan strażnik Zbrozek Michał, prowadzący zastępy królewskie, obłąkawszy się w drodze, napotkał na wózku rodzinę niemiecką i rzekł, że to daży „część przednia wojska polskiego,“ — a idzie „do Wiednia.“ Niemiec mruknął zachmurzony: „Wiem — to Lubomirski zaciężników dla cesarza zbiera — blaha to pomoc!...“ Nawet gdy pan strażnik wykrzyknął: „Dla Boga! to jest król polski we własnej osobie!“ — Niemiec odpowiada: „Nie drwij, panie żołnierzu z prostego człowieka. Na si książęta, choć cesarscy słudzy, jeszcze nie przyszli, a ten-że, król cudzy, miałby już przyjść z tak daleka?...“ Musiano więc im pokazać króla, który „w złocie i czerwieni“ w otoczeniu hetmanów i dygnitarzy koronnych zbliżał się ku nim. Wtedy starszka, babka jadającej rodny, klęka i u czoła związawszy ręce: Panie Boże — woła — teraz już myśmy zbawieni. — Ojciec, tej przygodnie napotkanej rodziny, wręcza dziecku kbiałkę pełną brzoskwiń i mówi: „Bierz to i nieś do Königa“ — i dziecię obu rączkami koszą dźwiga, rumieniąc się sam jak brzoskwinia. „A młoda matka, w obawie, czy synek doniesie ciężar, czuje, że za nim kroczy i ze czcią, miłsz od niezapominek, podnosi na króla oczy.“

Witani darami, zegnani błogosławieństwem, król i wodze zatrzymali się pod Hollabrunem, ażeby dać wywczas wojsku.

Wspaniałe obraz obozu, rycerstwa i meżów buławnych roztacza się przed oczyma naszymi. Wszystko kipi życiem, drga światłem brylantowem, szumi, chrzęszczy i dzwoni. Ręka poetki rzeźbi w marmurze, kuje w złocie, dzierżga na tęczy jedwabnemi niemi, gdy trzeba. Oto Sobieski dojrzał kilka drzew starych rosnących na uboczu; były to jawory i klony, od których padał cień, dając chłód rozkoszny. „Ten krządek chłodu wabił, jak oaza Sobieski tam zwrócił konia.“

Koń szczeropolski, sukienki złotawej, kształtów ogromnych jak się przynależy Aby podźwignąć jeźdźca tej postawy. Król, już od młodu, był z polskich rycerzy Najpotężniejszy i najurodziwszy. Dziś pędząc lato przekroczywszy, Tak rozolbrzymiał, że mógł być poczytan Za ocalały szczątek tego rodu, Co globem ziemskim władał u jego wschodu — Nie syn dni nowych, lecz Tytan.

Sama ta postać już pierwszym go czyni: O całe skronie wybujał nad tłumem — Oko miał czarne, bijące rozumem, Czoło wyniosłe jak fronton świątyni — Nad czołem kołpak puszący się kitą, Pierś wypukłastą, na poły zakrytą Karmazynami rysiowej herezy — A w całym sobie — dwóch er spadkobierca — Łączył majestat klasycznej poezji Z uśmiechem polskiego serca.

A ileż to figur kręci się koło króla Jana, każda w innym stroju o innym wyrazie twarzy Począwszy od hetmana wielkiej buławy, a skończywszy na pajuku — wszyscy mają swoje barwy i znamiona, wspaniała lub dosadna charakterystykę, wyrazistość rysów i przezroczyłość, pozwalająca nam głębie dusz ich dojrzeć. Jest to obraz Matejkowski nie pędzłem tylko, lecz piórem malowany.

Przy marsowych postaciach stoją dygnitarze kościelni, od których dziwnie odbija wiotka postać królewicza Jakóba w sukni francuskiej i o głowie fryzowanej, w kapeluszu z „plumazem“ a „pod sercem węzeł od szarfy krepowej, but lejkowaty z tiulowym wachlarzem, na szyi chusta z koronką brabantką i z boku szpaldzi rnięta elegancko.“

Na wieść o przybyciu króla, na rozpartych przylatają koniach wodze wojsk cesarskich, by nacznie o prawdziwości tej wieści się przekonać. Przybył książę Lotaryngii i hrabia Taaffe — z dziećmi wieni pośpiechem i gotowością wojsk królewskich do boju. Oczywiście, że goście na uczcie muszą zostać. Daremno książę Szarl się wymawia — ujęty serdecznością Sobieskiego musi pu-

har wina z nim spełnić i przyrzec się gościnności polskiej.

Król Jan wyruszył pod Wiedeń z całym przepychem majestatu. Ogromne bogactwa wiozł z sobą, wspaniałą zastawę stołową, orkiestrę janczarską, która darła uszy panów niemieckich, lecz co rana budziła króla przepięknym „Odezwe królewskim.“ Byli to rzeczywiście Janczarowie. Jedni dobrowolnie zbiegli z Kamieńca do króla, inni podczas bojów do niewoli wzięci, lecz rozkochani w nowym swym panu odejść już od niego nie chcieli. Namawiał ich król do chrztu świętego, to też czasami prawdziwemu pokłonili się Bogu, lecz się i do Allaha modlili. — Nie siłą lecz miłością przykuwał ich Jan do siebie. Przed każdą potrzebą mawiał: Wolna droga! Przy mnie,—gdy chcecie, do Tuka,—gdy chcecie!—I zostawali przy królu, jak psi mu wierni.

Niemieckich przybyszów dziwiło to przywiązanie pogan.—A nuż zdrada lub zamach skrytobójczy? Lecz nie było w całej Polsce człowieka, na którego pierś, nie tylko król Jan, lecz każdy z królów, głowy swojej spokojnieby nie złożył.

W rzędzie sług królewskich przepyszny jest kałmuk Astrakanem zwany. „Był mały, krępy, miał tułów sprężysty, nos przydeptany; z policzków, dwie gały, pod ukośnemi oczkami sterczały,“ a mimo to brał się do niewiast pewny dobrego przyjęcia, choć przed nim „pierzchały kobiety; „każda wołała, gdy nazbyt ją ścigał, skryć się w kostnicy pomiędzy szkielety, niż słyszeć jego madrygał,“—a król „kładał się od śmiechu.“

Król występuje w całej pełni bohaterstwa i tej zarazem szlacheckiej rubasznosci, która cechowała Sobieskiego. Królówic Jakób za zle mu ma nieraz beceremonialność dworzan, ale Jan Trzeci za wielkim był królem, więc i uczuciom swoim po królewsku wylewać się pozwalał i kochać się zmuszał.—To też nie dziw, że zdziwili się zagraniczni książęta, gdy zapalały się wieczorne zorze, od strony obozu przywiałą jakoweś głosy dobrane w chorały.

Wszyscy zamilkli—śpiew szedł coraz szerzej. Każda melodia była dla nich nowa I jakaś dziwna. Czasem też i słowa Dolatywały, ale tylko czasem, Bo pusty wietrznik, Zefir lekko-ręki, To w tył, to naprzód przesuwał dźwięki, Muzyką chwał jakby losem.

Była to pieśń o zwycięstwie króla pod Chocimem, w której słyszano słowo:

Wielki Sobieski! Marszałku! Hetmanie!  
Niech ci pamiętna sława w tryumf stanie—

Pieśń ułożona przez nieznanego poetę, którą później całe rycerstwo śpiewało. —

Opuścili książęta obóz królewski oczarowani rozumem króla, u którego ujrzeli „przepych azyacki, oglądę paryską, hełm w różach, laur na koronie!“

Uczta i zachwyty książąt kończy się pieśń druga.

Jesteśmy teraz w starym zamku Stetteldorfskim, gdzie ukrył się Graf Hardeck, rycerz z trzydziestoletniej jeszcze wojny, towarzysz z pod chorągwi Wallensteina. Zgrzybiały starzec żył już wspomnieniami tylko, plama zdrady rzucona na ukochanego wodza, niewdzięczność świata, kazały mu ten świat przewrotny opuścić—i ukryć się w murach starożytnego zamczyska.

Jego synowie i wnuki—dla sławy Szli w świat przemienny. On, jak duch zaklęty, Wrósł w ojców swoich staroświeckie sprzęty. Sąsiedzi jego, Dunajskie Burgrawy, Przykład z Wersalu biorący po cichu, Lub stołeczny zaszłości przepychu, Codziennie swe burgi przystrajali świetniej,— On, żadnej w zamku nie dopuszczał zmiany: Chciał mieć na zawsze w nim zaczarowany Czas Wojny Trzydziestoletniej.

Posępny okiem spozierał z baszty swojego zamczyska za Dunaj, gdzie czerwieniło się niebo luną pożarów, gdzie płomiennie obejmowały niemieckie Tulno, gdzie—z okna widział cesarską karocę traktem do Lincu pędzącą szalenie.—I krzyk ojczyzny, co pierś mu druzgoce, dawne w niej stłumił cierpienie.“

Pożogi—kłęski!

Aż oto surmy wojenne odezwały się przed wrotami zamku. Do Grafa Hardecka zjechał Jan Trzeci kwaterą, za nim płyną chorągwie rozwiane, pułki pancerne, i armata. Otucha wstąpiła w pierś starego grafa—z czią, przynależną sojusznikowi cesarza, przyjął króla polskiego, lecz serca niewiele okazywał, bo to serce zaskorupiałe było w bólach i krzywdach dawnych. Lecz gdy król Jan w rozmowie z Grafem nie dawał wiary zdradzie Wallensteina,— „Graf się otrząsał, jak ze snu czy zmory“ i zawołał: „Szlachetny władzco—niech ci wynagrodzi Bóg za to słowo!—Odżyłem—znalazłem pociechę na serce zboliałe, bo największy bohater świata, zwie go niewinnym!“

Na zamku Stetteldorfskim zatrzymał się król, gniewny na cesarza, że go zwiódł gotowością wojsk swoich do boju, podczas gdy książęta z chorągwami swojemi nie nadciągnęli jeszcze, ani na Dunaju most stanął. Wreszcie przybyli wodze wojsk cesarskich, ale—nie z posłuchem, lecz—z radami. Ulagodza gniew króla mnich przybyły od cesarza Marco d'Aviano;—ale król dał na chwilę tylko folgi uniesieniu—groźba powrotu nie była wypowiedziana na seryo, musi wypełnić ofiarę krwi, za którą nie od cesarza nie chce, tylko—swobody jego ludów, dławionych przez jarzmo niemieckie.

Za każdym słowem Jan Trzeci rośnie w obrzyma, w bohatera starochrześcijańskich legend.

Poznajemy tu nowe postacie w otoczeniu królewskim; nie brak i Wespazyana Kochowskiego, którego Bóg pokarał kołtunem, straszną chorobą swojego czasu. Czas w zamku spływa królowi na mocowaniu się z przekornymi książętami i zadroszcząciami mu sławy wodzami wojsk niemieckich, a tu otwarły się nieba czeluście, most na Dunaju niewykończony jeszcze, a z Wiednia coraz groźniejsze wieści nadchodzą.

Przyniósł je chłop z Podlasia, Jan Michałowicz, znajdujący się w służbie imci pana Grzegorza Kólczyckiego, mieszkającego w obleżonym Wiedniu. W mieście zaraza, głód, niepewność, w końcu rozpacz... Nie masz nikogo, któryby się przedarł przez obóz turecki dla nabrania języka—toć śmierć pewna!

Ale od czegoż jest p. Kólczycki i Jan Michałowicz? Pan Kólczycki poszedł raz—szczęśliwie wrócił z wycieczki, ale odpadła mu ochota do powtórzenia wyprawy. Podjął się więc tego zadania Podlasiak, i dwa razy przedzierał się przez obóz wraży a raz trzeci, aż do króla dotarł. Opowiadanie Michałowicza, wreszcie krótki i wiele mówiący list Stahremberga do księcia Szarla: „Panie Najłaskawszy—już niema chwili do stracenia!“ kazały królowi ruszać na wichry i burze. Most nie gotów? Przejdzie po takim jaki jest. Trwożą go roztopami z powodu deszczów ciągłych. „Zostawajcie! mnie wzywa rycerska powinność.“ I rozkaz padł, by ze świtem wojsko do wymarszu było gotowe.

Świt—armja królewska do dunajskiego mostu się zbliża, król na czele. Ale Szaffgocz zabiega mu drogę i zostać radzi! „Wy poczekaćcie bezpiecznie za rzeką,—My idziem odkrywając pierśi!“—odpowiada król.—Ale passionat Eneas Caprara, wódz cesarski...

Podbiegł z porywczym na twarzy wyrazem— „Chyba—zawołał—przez kości me stare Ten koń przejedzie. Pardon Sire...“ I razem Siegał do uzdy. Lecz tu przebrał miarę. Gdy hardą ręką za cugle go ima Jan Trzeci z góry go zmierzył, oczyma Olimpijskiego pogromcy i władcy, Potem—wspiął konia. Rozwarła się droga—Zmartwił Caprara, osłupieli Radcy Zmiażdżeni wzrokiem półboga.

„Za mną!—król krzyknął. Spuścił się nizina I pierwszy wjechał na most Dunajowy. Znikli. Tymczasem już biegł jakiś młody Hussarz—niósł szyszak nalany pod miarę: —„Bierz, królu!—krzyknął—rycerską tę czarę, Dunajskiej napij się wody!“

Na tem się kończą trzy pieśni wspaniałego poematu o Janie Sobieskim, trzy klejnoty w poezji naszej, trzy gwiazdy na naszym niebie. Początek to dopiero rycerskiego rapsodu—tej pieśni nad pieśniami, wyśpiewanej o bohaterze nad bohaterami, jakiego dzieje świata nie prędko ujrzą, jeżeli ujrzą kiedy. Nieśmiertelny w historii, drugą nieśmiertelność w pieśni Deotymy mieć będzie!

K. Gliński.

## NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas - Junoszę.

(Dalszy ciąg).

XIII.

Roman z księciem odjechał. Nie mogąc prawie ani słowa pomówić z Janiną, napisał do niej serdeczny i długi list, w którym błagał ją, by była spokojną i miała w nim zaufanie. Jedzie do ojca, a wkrótce, bardzo niedługo, wróci, żeby ją wraz z całym Żarnowieckim domem zaprosić do Wasilec. Musi ojcu zaprezentować swoją narzeczoną...

W liście tym, była taka pewność siebie, taka szlachetna prostota, rzeczy przedstawiały się w tak naturalny sposób, jak gdyby żadna trudność w związku ich nie zachodziła, a przede wszystkim, widać było z tych słów gorącą, głęboką miłość jego dla niej, miłość, dla której żadna przeszkoda nie istnieje.

Odebrawszy list ten z rąk Kamilli, Janina przeczytała go z nią razem i płakała... płakała z rozrzewnienia i bólu...

Wyspowiadała się przed przyjaciółką z obaw swoich i udręczeń, w jakie nienaturalne jej położenie ją wciągnęło... Kamilla, choć roztrzępana i wcale nie poważnie zapatrująca się na życie, więcej miała światowego doświadczenia od Janiny, która przybywszy prosto z pensyi do Żarnek, trzy lata po za obręb wsi nie wyjechała. Kamilla też nie kryła przed Janiną, że na małżeństwo takiego człowieka jak Roman, cały świat arystokratyczny oczy ma zwrócone, że nie obejdzie się bez komentarzy—plotek... ale że zwykłą swoją lekkomyślnością nie zastanawiając się nigdy nad niczem zbyt długo ani poważnie, pocieszała Janinę, że jakoś to będzie...

Biedna Janina! więcej niż kiedykolwiek czuła, jak to źle być samą na świecie!

W kilka dni potem otrzymała pani Żarnowiecka list od pana Bronimirskiego, w którym, przeprasza ją, że nie może sam zjechać do Żarnek, z powodu, że sparaliżowana noga utrudnia mu ruch każdy—szczególnie powozowy—prosi ją do siebie z córką, jej narzeczoną i wszystkimi gośćmi, którzy w tej chwili w Żarnkach się znajdują. Jeżeli zaproszenie starego krewnego przyjemność uczyniło hrabinie, za to dopisek mocno ją zirytował... W dopisku tym pan Bronimirski prosił wyraźnie o przybycie panny Janiny Strzelickiej, o której mu książę wspominał, że bawi w Żarkach jako wychowanka hrabiny, a której ojca znał kiedyś doskonale.

Nie wypadało stawiać opozycji, hrabina znała dobrze swego kuzyna, magnata demokrate—jak go zwała, który lubił niewłaściwie takiemu panu towarzystwa... Co jemu zależy na takiej

Janinie? i co ona tam robić będzie? a! niech sobie jedzie!

Natalia, usłyszawszy, że zastała także zaproszoną, czuła się w obowiązku drożyć ze swoją osobą, choć najgorętszym marzeniem jej było zobaczyć Wasilce i poznać ojca Romana.

— To niepodobieństwo!... ja się narzucać nie mogę! Będzie sama prawie rodzina.

— Jeżeli pani Janinę zalicza do rodziny! — odrzekła z humorem pani Żarnowiecka.

— A więc i panna Janina jedzie?... —

— Otrzymała specjalne zaproszenie — jak panująca! — rzekła hrabina z dąsem. — Wątpię czy jej samej zrobi to wielką przyjemność... *être tellement dépaycée...* Ale ona z pewnością skrupułów nie będzie miała, takich jak pani.

— Doprawdy... obawiam się, że będę państwu niepotrzebnym sprzętem... i tak już nadużywam gościnności pani.

— Och! co też pani mówi! — protestowała pani Żarnowiecka.

Nastąpiła wzajemna wymiana czułości i ostatecznie Natalia dała się namówić na podróż do Wasilec.

Niespodziewanie trudniej poszło z Janiną. Hrabina krótko i niechętnie oznajmiła jej, że pojedzie.

Biedna dziewczyna, pomimo, że uprzedzona przez Romana, zadrżała z obawy w stanowczej chwili.

— Ja?... ja mam jechać? — szepnęła.

— Biorę cię z sobą, — oświadczyła pani Żarnowiecka stanowczo, gdyż podniecił ją przestroch Janiny; opozycyści nie zносиła...

— Pani hrabino... — próbowała się wymówić, odroczyć to co ją czekało, bo przeczcucia jakiegoś niedobrego szarpały jej duszę.

— Cóż to znaczy? powinnaś mi być wdzięczną, że daję ci sposobność przejażdżki, przyjemności, a ty się wymawiasz? doprawdy nie rozumiel!

Kamilka, obecna tej rozmowie, zrozumiała doskonale czemu Janina waha się i obawia.

— Janinko, — rzekła serdecznie, — nie bądź tak mało odważną... nic ci w Wasilcach nie grozi; zresztą, nie możesz nie jechać, kiedy wuj prosi.

Janina także wiedziała, co Kamilla miała na myśli, mówiąc do niej w ten sposób i podziękowała jej smutnym uśmiechem.

— A propos... — dodała hrabina. — Chcę, żebyś była porządnie ubrana, kiedy już masz pokazać się w obcym domu... Napisz do Lwowa, niech ci przysła suknię gotową... Może tam coś dla niej wymyślisz stosownego, Kamilko?

Przyjmować dobrodziejstwa od hrabiny, w tej chwili, gdy kto wie czy za dni parę nie będzie w niej miała śmiertelnego wroga — niepodobna było Janinie...

— Dziękuję pani bardzo... — rzekła, zdobywając się na odwagę, — mam wszystko czego mi potrzeba...

Hrabina na nią spojrzała z góry, zdziwiona.

— A... tem lepiej! — rzekła obojętnie. — Ale kładźże to masz, jeżeli wolno wiedzieć? — dodała nieco ironicznie. — O ile mi się zdaje, nie posiadasz żadnych dochodów.

— Kazio mi przysłał pieniądze... — wyznała z prostotą, — kupiłam sobie batystu na dwie suknie, które właśnie szyję.

— Batystu! lepiej było coś praktyczniejszego kupić... ale mniejsza o to! Korespondujesz ze swoim bratem! — dodała niby obojętnie a ciekawie.

— Zawsze korespondowałam...

— Jakże się miewa pan doktor? — spytała z przyciskiem hrabina.

— Dziękuję pani... bardzo dobrze. Praktykę jak na początek, ma dość liczną, dochody nie zle...

— Widocznie nie zle, kiedy tobie przysyła... Dobrze choć, że o siostrze pamięta, kiedy o innych mieszkańcach tego domu zapominał...

Ostatnie słowa wymówione były z pewną gorczycą. Dawno już hrabina nie rozmawiała z Janiną inaczej, jak tylko wydając jej rozkazy, lub napominając... Ośmielona dobrem usposobie-

nem opiekunki, młoda sierota zdobyła się na odważną odpowiedź:

— Kazio nie zapomina nikogo... o swojej ciotce wyraża się z szacunkiem i tęsknotą i radby dożyć chwili, w której jego banicya się skończy...

— Tak?... tęskni, pamięta? dobrze. Może przyjechać... na ślub Kamilli.

Hrabina pragnęła dać uczuć córce niestosowność jej poprzedniego uczucia dla Kazimierza... ale Kamilla nie wzięła tego do serca.

— Pozwała mama? Chwała Bogu! najmilszy to będzie mój podarunek ślubny od mamy, gdy zgoda z Kaziem nastąpi!

I nie czekając na odpowiedź matki, odbiegła, zabierając z sobą Janinę.

W kilka dni potem Roman przyjechał, towarzysząc paniom w wycieczce do Wasilec.

Hrabina prawdziwie ujęta była galanterią kuzyna, nie spodziewając się wcale, że nie dla niej to uczynił... Roman przyjechał, stęskniony za swoją ukochaną, przypilnować, żeby jej przypadkiem nie zostawiono w domu.

Znalazł, że Janina zbladła przez tydzień jego nieobecności, szalenie pragnął pogadanki z ukochaną, czuł, że i ona potrzebuje zacerpnąć otuchy w jego towarzystwie, a w obecnym składzie osób będących w Żarkach, tak trudno było znaleźć się z nią sam na sam...

Dzięki jednak poczciwej Kamilli, sposobność się znalazła. Najnaturalniej w świecie, wieczorem w dniu przyjazdu Romana, z własnego popędu, wybrała się na przechadzkę z narzeczoną, biorąc Janinę za opiekunkę; a Romanowi szepnęła, żeby ich czekał w umówionym miejscu. Stanisław, dawno już był wtajemniczony przez Kamilę co do stosunku Romana z Janiną, nie dziwił się więc wcale, gdy na zakręcie ścieżki w parku, pojawił się Roman. Chodzili sobie we czwórkę, nie zważając na siebie wzajemnie, bo każdego z nich zajmowały więcej osobiste sprawy niż obce. Rozmowa stawała się nawet czasem ogólna, nie kępując zbyt doskonale dobranego kółka.

— Połaj ją Romku, — mówiła wesoło Kamilka, wskazując na Janinę, smutna ciągle i zamysłona. — Prawda, że pan uczyniłby to samo, gdybym tak się zachowywała jak Janina! — zwróciła się z figlarnym wyrazem do Stanisława.

Nastąpiła wymowna odpowiedź Stanisława, a tymczasem Roman mówił do Janiny.

— Smutna i zamysłona... o czym? czemu smutna? Oj! źle się dzieje jak kto nie pilnuje swoich skarbu!

— Tego skarbu — jak pan mówi, — nikt nie pożąda! — odrzekła w zwątpieniu. — Może pan być spokojny...

— Najgorętszym wrogiem człowieka jest jego własne ja, — rzekł Roman. — Gdybym mógł zabrać ci twoje myśli i niepotrzebne troski moje szczęście!... Widzę jak jesteś udęczona, biedna, pobladłaś mi, zmierzniałaś... a ja chciałbym żeby na całym świecie nie było szczęśliwszej od ciebie istoty!

— Czemu pan jesteś tak bardzo bogaty! — nie mogła się powstrzymać żeby nie zawołać.

Przejęty tym wykrzyknikiem świadczącym o wysoko rozwinięciem w niej poczuciu delikatności i prawości, zaczął jej łagodnie tłumaczyć, że jej obawy nie na miejscu. Mówił, jak ojciec pragnie ją poznać, jak szczegółowo wypytywał o nią, nie stawiając najmniejszej opozycji zamiarom syna.

Mówił długo, przekonywająco, pieszczotliwie i uspokoił nieco w końcu.

— Kochasz mnie? — szepnęła używając najskuteczniejszego środka, podczas gdy płomienne jego oczy tonęły w jej oczach.

— Nad życie! — wyznała wyczerpana, bezsilna w obec tej miłości.

— Wiecie, moi państwo, — ozwała się nagle z komiczną powagą Kamilla. — że nadużyliśmy naszych praw! Wracajmy, bo dostaniemy porządną burę!

Nazajutrz nastąpiła jazda do Wasilec.

Ugrupowano się w dwóch powozach. Ku wielkiemu niezadowoleniu Natalii, jechała ona z hrabiną i Alfredem Łuckim, podczas gdy w dru-

gim — powoziku Romana, który sam końmi kierował — zasiadła Kamilla z Janiną i Stanisławem.

Panny służące hrabiny i Natalii wraz z kufkami, wyjechały już z rana, aby panie natychmiast po przybyciu przebrać się mogły.

Pełną uroku była ta podróż dla Janiny. Jechała milcząca wprawdzie, ale milczenie to było raczej wycieczką dla niej. Narzeczeni gwarzyli z sobą wesoło, szczęśliwi, a ona rozglądała się po nieznanej okolicy; od czasu do czasu, Roman zwracał się ku niej z wysokiego kozła, przemówił słówko, spojrzawszy serdecznie, lub uśmiechnął się zachęcająco.

Ciągle miała na myśli oklepane zdanie, używane zwykle w podobnych wypadkach: — tak jechać całe życie!... Tak! używać chwili obecnej, bo pomimo serdecznych zapewnień Romana i jego przywiązania, Janina czuła, że ciężkie chwile jeszcze ją w życiu czekały!

W połowie drogi do Wasilec, ukazała się przed nią szeroka rzeka, którą odtąd ciągle przebywać musieli, wpław, lub przez mosty, takie kapryśne były jej zakręty.

Nareszcie ukazał się w dali dach pałacu w Wasilcach. Wjechano w długą, szeroką aleję, wysadzoną podwójnymi rządami drzew bardzo starych, u stóp których ciągnęły się starannie utrzymane żywopłoty.

Okrzyk podziwu i zachwytu wydobył się z piersi Kamilli i Janiny. Rzeczywiście wjazd ten, na końcu którego, w morzu zieleni rysowały się kształty pałacu, wspaniałe i imponujące czynił wrażenie, prawdziwie magnackiej siedziby.

Widać było, że wieki składały się na upiększenie tego zakątka, w którego murach, pokolenie z pokolenia żyło i umierało, ustępując miejsca nowemu, garnąc przy sobie całe zastępy domowników, sług i czeladzi.

Kamilla, nie panująca nigdy nad chwilowym wrażeniem, w nieustannych okrzykach podziwu zachwyty swój objawiała; Natalia czuła się w obowiązku rzucić kilka słów w tym samym tonie, jedna tylko Janina milczała, przybita do ziemi wspaniałością, która przeszła o wiele jej oczekiwania. Powiodła okiem dokoła, spojrzawszy na imponujący fronton budowy ozdoby herbem, na wykwiłtne trawniki, i na rozrzucone po nich umiejętną dłonią ogrodnika prawdziwe gaje kwiciste, — a potem spuściła oczy na własną, granatową wełnianą sukienkę i smutny uśmiech ukazał się na jej ustach...

Tymczasem powozy się zatrzymały i Roman robił honory domu; wprowadził panie do ogromnej hali, a potem szerokimi dębowymi schodami na górę, bo hrabina pragnęła przebrać się z drogi, zanim przywita pana Bronimirskiego. Znała ona rozkład domu z dawnych czasów, gdy tu bywała, podziękowała więc Romanowi za jego usługi i wraz z towarzyszkami swojimi udała się szerokim kurytarzem do pokoi, które zajmować miały.

Wkrótce potem zgromadzili się wszyscy w wielkiej sali jadalnej na dole, gdzie pan Bronimirski, siedząc na fotelu, czekał swoich gości.

W dużej i wysokiej sali, mrok panował, z powodu grubych firanek zwieszających się z okien; pan domu rozkazał zapalić świece w starożytnym świeczniku, zwieszającym się od sufitu. Przy tem światło, twarz jego, dość jeszcze świeża pomimo wieku i długiej białej brody, i cała postać patryarchalnie się przedstawiała. Nie mógł wstać na powitanie kuzynki, z powodu sparaliżowanej nogi, ale za pomocą korby, którą sam fotelem kierował, wyjechał ku drzwiom na spotkanie pan wchodzących.

Hrabina przedstawiła panią Natalię, córkę, a w końcu Janinę. Pan Bronimirski dla każdej słówko uprzejmie znalazł i zaprosił, żeby siadano do stołu.

Janina była blada i widocznie mocno wzburzona, aż pani Żarnowiecka to zauważyła i szepnęła Natalii:

— Niech pani spojrzę na Janinę... Czy nie miałam racji mówić, że ona sama najgorzej wyjdzie na tej wizycie? Ręczę, że w głowie jej się mać od tych wspaniałości!...

Tak! pani Zarnowiecka miała słusność. Janinie maciło się w głowie gdy pomyślała, co ludzie powiedzą, dowiedziawszy się, że ona ma tu być panią... Roman mówił jej wprawdzie nieraz, że nie dba nigdy o to co ludzie powiedzą; on mógł tak twierdzić, ale ona?...

Rozpaczliwe myśli przychodziły jej do głowy, gdy się znalazła samą, w pięknym pokoju, komnacie raczej, przybranej w staroświeckie dywany, meble i makaty. Wszystko co ją otaczało w tym pokoju, czego się dotknęła, świadczyło o niesłychanej zamożności i starożytności rodu, który od wieków rządził tym pałacem. A ona czem była w obec tego wszystkiego? co ona tutaj znaczyła, w tym domu, gdzie brano zawsze za żony bogate panny ze znakomitych rodów?... Czem się przyczynić mogła do świetności tej rodziny ona, biedna, z łaski wzięta sierota, nie posiadająca ani grosza przy duszy? Czy było uczciwie z jej strony przystawać na taki związek, prawdziwie potworny w swoim rodzaju?... Ach! głowa pęka od nawału sprzecznych myśli... i nikogo ktoby poradził, oświecił...

(Dalszy ciąg nastąpi).

## TAK BYĆ MUSI...

**I** wzięli go i ponieśli.  
W ciemny dół trumnę spuścili,  
Mnie płakać niedozwolono:  
Tak być musiało! mówili.

Z rozpaczy bólu, żalości  
Serce moje pęknać chciało...  
Oni mi wciąż powtarzają:  
Niestety! tak być musiało!

Kwiat wiosny marnie usycha,  
Rwie się zwolna szczęścia nić,  
Nieszczęsna miłość zamiera...  
Tak musi, tak musi być...

*Marceli Strzemięńczyk.*

## RUCH MUZYCZNY.

Premiera operowa w niezbyt urozmaiconym repertuarze naszym, to fakt pierwszorzędnej wagi, zwłaszcza jeżeli wychodzi ona z pod pióra kompozytora tej miary, jakim był Rubinstein. Nic więc dziwnego, że publiczność warszawska oczekiwała z gorączkowym zaciekawieniem pierwszego przedstawienia dawno zapowiadanego „Demona.“ Przechowała ona w pamięci swej wspomnienie Rubinsteina jako kompozytora w dziedzinie muzyki instrumentalnej i jako genialnego wykonawcę zbyt silnie, ażeby nie zapragnęła poznać talentu jego na polu szerszej kompozycji.

Operę tę w 3 aktach, a w 6 obrazach napisał Rubinstein do słów Lermontowa w r. 1871; po raz pierwszy dawano ją publicznie w teatrze Maryjskim w Petersburgu w r. 1875 i od tej chwili doczekała się ona poważnej liczby przedstawień na wszystkich rosyjskich scenach operowych. Zagranicą, ukazała się ta kompozycja dopiero w r. 1882, a mianowicie na scenie londyńskiego „Covent Garden“ i zaraz następnego roku w Lipsku.

W kompozycji tej przebija się czynnik religijno-mistyczny, do którego w latach najwyższej swej twórczości chętnie skłaniał się Rubinstein.

Genialny kompozytor obdarzony głębokiem poczuciem dramatyczności w kompozycjach czysto instrumentalnych, a nawet w pieśniach, czuł się zupełnie obcym przy zetknięciu się z teatrem.

Dla tego też, w przeświadczeniu własnej niemocy na tem polu, nie siłił się na napisanie kompozycji operowej w najszerszym tego słowa znaczeniu; Demon miał być czemś pośrednim między operą, a oratoryum.

Twórczość jednak Rubinsteina nie zdołała dostroić się do porywającego polotu literackiego poety, zabrakło mu sił do wzniesienia się na te same, co i on wyżyny; i w tem tkwi właśnie przyczyna rozczarowania, jakiego doznać musi każdy, kto spodziewa się, że muzyka Rubinsteina spotęguje wrażenie wywołane odczytaniem dzieła Lermontowa.

Do najszcześniejszych momentów w operze należą miejsca, które dają możność kompozytorowi zabłyśnięcia swoim talentem na polu melodyi wschodnich, w których się tak zawsze Rubinstein lubował i które oddawać umiał z nieporównanym wdziękiem i oryginalnością. Melodya śpiewana przez Gruzinki idące po wodę do Aragwy, piosenka Tamary, pochod karawany, pieśń orszaku księcia Synodału, tańce Lezgińskie, wszystko to bardzo ładne i mile przemawia do słuchacza żywością kolorytu, brak w nich jednak tej poezji, chwytającej za serce i pozostawiającej po sobie wspomnienie jakiegoś błędnego, a nieuchwytnego spokoju.

O ile szczęśliwym bywa Rubinstein w tych częściami opery, które nie wymagały żadnego pogłębienia żadnej duchowej charakterystyki, o tyle dalekim jest od doskonałości w charakterystyce tytułowej postaci dramatu; pod tym względem nietylko, że nie dorównał oryginałowi Lermontowa, lecz nawet odbiegł od niego, uwydatniając te tylko strony charakteru Demona, które odpowiadały indywidualnej jego twórczości, a pomijając zupełnie oddanie stron duchowych.

Demon w pojęciu Lermontowa to uosobienie potęgi złego. W ciągłym pragnieniu walki, nie szuka on miłości w uległym poddaniu się, lecz w niczem niekrępowanej rozkoszy. W każdym jego słowie przebija się bezgraniczne samolubstwo, i cyniczna dla świata i ludzi pogarda. Rubinsteinowi nie brakło silniejszych rysów do uwydatnienia tej nieograniczonej, niczem niekrępowanej zmysłowej miłości Demona, lecz nie starczyło mu już mocy na oddanie stron duchowych tego pierwiastku szatanizmu tej usiłującej zerwać urojone swe pęta potęgi zła. Ztąd więc wpływa ta jednostronność w charakterystyce głównego bohatera, na czem rzecz prosta ucierpieć musiała przewodnia myśl poety.

Postać bohaterki opery Tamary, chwytająca za serce w poemacie Lermontowa, traci bardzo wiele w charakterystyce Rubinsteina. U niego mówi ona lub raczej śpiewa bardzo wiele, wszystko to jednak tak mało interesuje, tak słabo przemawia do uczucia słuchacza. Dusza jej odzwierciadla wprawdzie wiele uczuć postronnie działających, barwy jednak, jakich użył autor do oddania miłości, przepelniającej serce Tamary, aczkolwiek chwilami grają świetnością, w całości jednak nie wywołują oczekiwanego wrażenia. Strona zmysłowa w miłości znalazła w namiętnej organizacji kompozytora doskonałego tłumacza; mniej szczęśliwym był za to w scenach technicznych z natury samej czystym liryzmem lub bezbrzeżną rozpaczą. W kulminacyjnej scenie, w której Tamarze oczekującej z niecierpliwością na zamku ojca swego przybycia oblubieńca, przynoszą martwe zwłoki zabitego przez rozbójników księcia Synodału, jest tu wprawdzie załamywanie rąk; jest zawodzenie nad trupem kochanka, wszystko to jednak takie zimne, takie zda się obrachowane na efekt, że w słuchaczu ani jeden nerw nie zadręga rzetelną sympatją dla dotkniętej tak boleśnie w najtkliwszym swem uczuciu Tamary.

Jednym z najpiękniejszych ustępów opery jest prolog, który przez wprowadzenie całego szeregu postaci fantastycznych jak niewidzialne chóry niebiańskie, piekielne, chóry przyrody zaniepokojone przelotem Demona nad ziemią,

dawał Rubinsteinowi szerokie pole do popisu. W prologu tym występuje w całym blasku pierwiastek mistyczny, który tak pociągał Rubinsteina i który mu pozwolił wzniesić się na wyżyny prawdziwego idealizmu. Demonowi sprzykrzyło się już panowanie nad ziemią i zsyłanie ciągłych na nią nieszczęść; dusza jego zniecierliła już świat cały, dla którego nic nie ma prócz przekleństwa. W chwili tej zjawia się geniusz „dobra“ i zaklina go, by powstrzymał nienawiść swą dla świata, lecz ukochał go, a Bóg ulituje się nad nim i otworzy mu bramy raj.

W obrazie drugim wprowadza nas autor do zamku ojca Tamary, Gudala. Służebne jej schodzą do rzeki po wodę nucąc pieśń utrzymaną w kolorycie wschodnim i nęcącą nowością tematów. Tamara ukazując się z wesołą pieśnią na ustach, która urozmaica jednostajny, aczkolwiek charakterystyczny rytm pieśni wschodniej chóru służebnic i mile drażni ucho swoją zalotnością, charakteryzującą dosadnie wesołe usposobienie pięknej córy Kaukazu.

Dwie te pieśni należą, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, do bardzo udatnych numerów opery. Mniej szczęśliwie przedstawia się ukazanie się Demona, jego zachwyt na widok Tamary, bezwiednym wiedzionej niepokojem i wreszcie piosenka starej piastunki, pragnącej rozchmurzyć jej czoło. Wszystko to melodye traktowane wprawdzie szeroko z właściwą Rubinsteinowi błyskotliwością, nie są one jednak w stanie utrwalić się w pamięci słuchacza. Namiętny, miłosny śpiew Demona, kuszącego Tamarę obietnicami, mającymi zatrzeć w sercu jej obraz oblubieńca nie pozbawiony jest głębszych efektów tak pod względem muzycznym, jak i scenicznym. Obraz kończy się odejściem rozmarzonej słowami Demona Tamary. W scenie tej bardzo zręcznie użyte jest powtórzenie przez Tamarę ostatniego motywu kusiciela. Odchodzi ona z motywem tym na ustach; smutna jest wprawdzie, lecz główkę jej oszłomiły już świetne oświetlenie „królowania nad całym światem.“ Miłość dla Synodała osłabła w jej sercu, aczkolwiek nie zdaje sobie z tego sprawy.

Obraz trzeci przedstawia dziką okolicę górską. Młody książę Synodał odpoczywa z orszakiem swym w drodze do zamku Gudala, dokąd spieszy na skrzydłach miłości ku ubóstwionej Tamarze. Demon jednak, rozmarzwszy go obrazem Tamary, zsyła nań sen, który dlań ma być ostatnim. Naprowadzeni przez Demona Tatarzy podkradają się pod obóz; wywiązują się straszna walka, w której ginie młody książę. Ciało jego wierny sługa unosi z pola bitwy i przywozi na zamek Gudala.

W scenie tej przechodzi Tamara najróżnorodniejsze uczucia od najtkliwszej miłości pod wpływem tajemniczych słów Demona do bezgranicznego bólu rozpaczy. Do uczuć tych jednak nie zdołał się dostroić się kompozytor; nie znalazł on na wyrażenie ich silniejszych i technicznych większą szczerością akcentów muzycznych. Partya ta trzymana przeważnie w recitativach na tle akompaniamentu czy to orkiestralnego, czy to chorów lub ensambłów nuży swoją oschłością i brakiem wszelkiej oryginalności. Do najwybitniejszych momentów muzycznych w obrazie tym należy muzyka baletowa; pierwszemu równie jak i drugiemu tańcowi potrafił Rubinstein nadać oryginalny koloryt swojski, przechodzący z rzewnej tęsknoty do wybuchów dzikiej fantazyi. Z ensambłów na wyróżnienie zasługuje w obrazie tym kwartet z chórem, milkący w rozwianych dźwiękach za ukazaniem się Demona; pieśń miłosna księcia, rozwijająca się na tle chóru, technie zasobem szczerego liryzmu.

Obraz czwarty poprzedza intermezzo, trzymane jakby w formie tańca narodowego, nie pozbawione świeżości i barwności.

Na zamku Gudala zebrani goście w oczekiwaniu nowożeńca bawią się wesoło, gdy wtem radość ogólną przerywa dający się słyszeć za sceną wykrzyk „biada!“ a niepokój gości weselnych wybucha wreszcie głosami rozpaczy na widok mar z zwłokami Synodała.

Akt ostatni rozgrywa się w klasztorze, do którego schroniła się Tamara po utracie oblubieńca. Zjawia się jednak Demon i rozwija całą siłę niepokonanego swego uczucia, którym gubi ostatecznie Tamare. Scena ta pozwoliła Rubinsteinowi na rozwinięcie całego zasobu liryzmu, jakim tchną erotyczne pieśni Demona. Postać Tamary schodzi tu na drugi plan, stanowiąc jedynie tło do racjonalnego przeprowadzenia akcji.

Operę tę usłyszeliśmy na naszej scenie dzięki p. Battistini'emu, który partycję swą wykonał jak zwykle z wielkim poczuciem artystycznym i potrafił śpiewem swoim i grą, zwłaszcza w akcie ostatnim przykuć uwagę słuchaczy. Niewdzięczną partycję Tamary oddała pani Olghina-Józefowicz z wielkim wdziękiem, a w scenie rozpacz zdobyła się na silny akcent dramatyczny. Postać księcia Synodala odtworzył p. Sienkiewicz poprawnie, wlewając w niezbyt zasobną w sympatyczne momenty muzyczne partycję swą sporo szczyrego liryzmu.

Chóry i orkiestra pod batutą pana Spetriny dostrajały się do udatnej całości.

Wystawa opery zadowolnić mogła najwybredniejszych nawet słuchaczy. Reżyser opery p. Chodakowski studyował dzieło to specjalnie w Petersburgu i nie zaniedbał niczego, ażeby je w najkorzystniejszym przedstawić świetle.

Z kolei wspomnieć wypada o przedstawieniu „Halki“ z współudziałem pani Olghin-Józefowicz w partycji tytułowej i p. Sienkiewicza w roli Jontka. Przyznać musimy, że dawno już nie słyszeliśmy opery tej wykonanej tak pięknie w tytułowych partycjach. Pani Olghin-Józefowicz pojęła rolę swą bardzo szczęśliwie; była Halką z duszy i ciała, Halką taką jaką chciał mieć Moniuszko, prawdziwą córką ludu, którą rozpacz po utracie kochanka posuwa do obłędu i samobójstwa. W interpretacji jej brzmiała szczerza nuta naturalnej tęsknoty, przemawiającej do serca słuchacza nieprzepartym wdziękiem. Dodać tu winniśmy, że pani Olghina Józefowicz prócz trudności artystycznych, jakie tkwią w samym zrozumieniu narodowego charakteru kompozycji, miała do zwalczania trudności czysto techniczne, partycję tą powiem po raz pierwszy śpiewała po polsku. P. Sienkiewicz doszedł w partycji Jontka do wyżyn granicznych z nieposłednim artyzmem; głos jego brzmiał tak rzewnie, tak nabrzmiał był głębokiem uczuciem, iż mimowoli porывał słuchaczy swoim śpiewem.

Na tem miejscu zaznaczyć winniśmy, że w dn. 4 czerwea b. r. przypada 25 letnia rocznica śmierci niezapomnianej pamięci twórcy Halki. Dzień ten uczcić zamierza towarzystwo muzyczne nabożeństwem żałobnem, „Lutnia“ zaś ma urządzić koncert Moniuszkowski.

A. Dobrowolski.

## Sprawa kobiet na gruncie galicyjskim.

Nadchodzą upały, a wraz z niemi zbliża się „la saison morte“ lub jeśli kto woli t. zw. „ogórkowy sezon“ na wszystkich polach. To samo da się spostrzedz i w stowarzyszeniach; pora odczytowa mija, każdy woli użyć pogody i przechadzki aniżeli siedzieć w atmosferze gorącej i dusznej na prelekcji. Dlatego ruch i życie stowarzyszeń przestaje płynąć jako nieprzerwana, pełna fala, a zaczyna zaznaczać się tylko sporadycznie tu i ówdzie jakimś ważniejszym wypadkiem, który odbija od ogólnego kolorytu powszednich dni i spraw, niby oaza zielona pośród białego czy szarego morza piasku pustyni. Do takich ważniejszych wydarzeń pośród ruchu kobiecego na ziemi galicyjskiej zaliczyć wypadnie, w braku ważniejszych, odczyt Antoniego Grota Potockiego,

zamieszkałego w Paryżu—o ruchu kobiecym we Francji. Tytuł prelekcji nie udał się, a to z dwóch przyczyn: po pierwsze, prelegent wykazał, iż właściwie tego, co ruchem kobiecym nazywamy, nie ma we Francji, a powtóre ten „ruch“—„we Francji“ odstraszył publiczność, wiele pań zwłaszcza, i do sali ratuszowej nie ściał wcale tak licznej publiczności, jakby się tego należało było spodziewać po ogromnej reklamie dziennikarskiej, prelekcję poprzedzającej. Tem jednak pocieszyć się mógł p. Potocki, że ci, którzy go słuchali, byli sami tacy, co słuchać umieją, a przecież wielu zgodzi się ze mną, że w większych zebraniach jest mnóstwo słuchaczy, którzy talentu słuchania nie posiadają. Talent bowiem słuchania posiadać można nakształt talentu wymowy, lub go nie posiadać wcale. Proszę darować mi tę malutką dygresję, wracam już do tematu.

Za punkt wyjścia posłużył prelegentowi „Kajet zażaleń“, wydany przez międzynarodowy kongres kobiet w r. 1896. Uznany za akt kobiecej działalności, formą swą archaiczną, przypomina kajety zażaleń ludu francuskiego z XVIII wieku,—a żąda dla kobiety praw i swobody pracowania, względnie zarobkowania. Kodeks francuski, kodeks napoleoński ułożony jest z uprzedzeniami do kobiety, a nie ma się co dziwić temu, gdy się zważy, iż sam kodyfikator był pod tym względem bardzo stronniczym i jeszcze z wygnania na wyspę św. Heleny pisał: „Kobieta jest taksamo waszą własnością, jak drzewo owocowe jest własnością ogrodnika.“ Itak ją też kodeks uważa. Kobieta francuska w obliczu prawa, traktowana jest jak dziecko lub przestępca; jej podpis nie ma ważności, jej zarobiony grosz, nie jest jej własnością, lecz jej męża, majątku własnego także używać bez jego woli nie może, opieki nad dziećmi mieć jej nie wolno, a nawet, gdy zamierza u sądu upomnieć się o wyrządzone jej krzywdy, musi mieć na to pozwolenie męża, choćby skarga ta do niego samego się odnosiła. Tutaj ustawa dochodzi do paradoksu. Dawniej kobieta we Francji miała praw daleko więcej, pozbawiła ją tych praw dopiero wielka rewolucja aczkolwiek nie odrazu; dopóki kobieta była użyteczną i potrzebną rewolucji, dopóty rządziła się prawem równości, duch centralistyczny odjął jej z kodeksu wszelkie przywileje, a nałożył ciężary znaczne. Nie wpływa wszelako z tego, że Francuzki nie biorą udziału w życiu społecznem, owszem; udział ich np. w oświacie jest znaczny, gdyż z pośród 110 tysięcy nauczycielstwa kobiety stanowią więcej niż połowę tej liczby, ale zawsze praca kobiety jest gorzej wynagradzana, niż praca mężczyzny, choćby nawet w rezultacie okazała się bardziej produkcyjną. Kobiety mogą być we Francji nawet kierowniczkami szkół męskich, ale mają zawsze niższą płacę od kierowników. Stoją też często na czele większych przedsiębiorstw, ale skoro tylko zagnane są udać się pod opiekę prawa, mogą być z góry pewne przegranej—wedle zdania prelegenta.

Co do literatury, utrzymuje p. Potocki, że tą którą zna zagranica, nie jest właściwie francuską, ale paryską. Naprawdę francuską jest literatura i prasa prowincyi—lecz my jej nie znamy, ponieważ na eksport wybierają tłumacze sensacyjne, a skandaliczne romanse paryskie, z wiecznemi powtarzającym się *trio: on, ona* i jeszcze raz *on*. Literatura paryska rozwija zatem pierwiastek, zniesławiający kobietę francuską, mimo, iż życie jej do tego wcale nie upoważnia. Jedynie zbliżony do prawdy typ kobiety francuskiej podają bracia Goncourt i Mirabeau—zresztą przeważają skażone typy buduarowe lub uliczne. Taksamo czyni i teatr.

Hasła ruchu kobiecego nie rozwinęły się jeszcze we Francji tak, ażeby można do czasów obecnych zastosować słowa V. Hugo, iż wiek XIX będzie się zwał *wiekim praw kobiety*, tak jak XVIII nazwano *wiekim praw człowieka*. Istnieje wprawdzie kilka stowarzyszeń kobiecych w Paryżu, lecz prowincya w nich udziału nie bierze. Największe ze stowarzyszeń „Liga“ ma zale-

dwie 600 członków, to jest tyle, co filia prowincjonalna jakiego stowarzyszenia w Anglii.

Wszystkim stowarzyszeniom, czy się one zwą „Unią“—czy „Ligą“ czy „Solidarnością“, chodzi o wywalczenie prawa dla kobiety francuskiej i o zwycięstwo najsluszniejszej zasady: „Równa praca, równa płaca.“ Kongresy właściwie jeszcze nie mają pozytywnego znaczenia, ale prelegent uważa je za reklamę ruchu kobiecego, zaś z pism kobiecych, podnosi tylko „Revue féministe“, jako mające jaki taki wpływ, uzyskany wszakże dopiero po kongresie kobiet w r. 1896.

Drugim ważnym faktem, jest ogłoszone niedawno pozwolenie austriackiego ministerium oświaty, otwierające kobietom drogę do kształcenia się w akademiach—na wydziale filozoficznym. Na razie znaczenie realne tego pozwolenia polega głównie na tem, że jest kilkadziesiąt kobiet, kształcących się w gimnazyjach prywatnych lub w domu, przygotowujących się do matury gimnazyalnej, bez której rozumie się, nie można być słuchaczką uniwersytetu—te zatem po ukończeniu akademii będą mogły zająć posady w mających się uorganizować szkołach wydziałowych wyższych we Lwowie i Krakowie. Szerszego znaczenia nabierze to pozwolenie dopiero, gdy otworzą u nas publiczne, rządowe gimnazjum dla dziewcząt, o co bardzo się dopominają kobiety i prośbami kołącą do podwoi Rady państwa. Sprawa ta niewątpliwie doczeka się rychłego a pomyślnego załatwienia—zatem chwilowe niepowodzenia nie mogą być brane w rachubę. Za modłą wytrwałości w zabiegach posłużyć mogą Angielki, dwadzieścia kilka lat walczące o prawo wyboru do parlamentu i w końcu uzyskujące je.

Już to, co do wytrwania w dążeniach i naszym kobietom nie zarzucić niepodobna, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy, których ważność uznaje ogół. Coraz silniejsze poczucie solidarności w dążeniu *naprzód* (przez to „*naprzód*“—rozumiem dążenie do wszystkiego, co dobre, szlachetne, użyteczne) daje się spostrzegać pośród kobiet wszędzie z małemi wyjątkami.

Solidarność ta manifestuje się i w czynach, i w obchodach, takich, jak „*Święcone*“ lub „*opłatek*“ w Stowarzyszeniach nauczycielek, Związkach koleżeńskich, Czytelniach i t. d. Zebrania takie szczerą odznaczają się łącznością i gościnnością. Czuje się tam spójnie serdeczną z tymi, z którymi wiąże zawód lub wspólność dążeń i przekonań—a poczucie spójni to zawsze motor wytwarzający duchową moc i energię.

W czasach dzisiejszych ogólnego biadania na rozstroje nerwowe, spleeny, zniechęcenia i melancholii, znaczenie łączności i krzepkość wiary i otuchy, jaka z niej płynie—należy do objawów niestety nie częstych, ale gorąco upragnionych i pożądanych. Smutki, niewiara, omdlenie ducha to trucizny społeczne i ztąd rację przyznajemy temu, kto raz na swej lutni zaśpiewał: „Ja się nie lękam nawałnic, co błyszczą. I szarpia nagle jak lwica zgłodniała. Ale tych smutków, które życie niszczą, Pijąc, jak wampir krew po kropli z ciała...“

Czasy nerwowości—chore są na brak krwi i cielesnej i duchowej—ztąd uznanie tym wszystkim, co się przyczynia do tego, że w organizmie zacznie ona znowu płynąć gorącą, życiową strugą, przynosząc zdrowie społeczeństwu—zdrowie ciała i czerstwe zdrowie ducha.

Janina S. Aleksota.

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Maju.

Po wesołych i pogodnych pierwszych dniach wiosennego sezonu zaczynającego się otwarciem paryskiego Salonu sztuki—po występach głośnego włoskiego śpiewaka Tamagno—prerażający wypadek pożaru pochłaniającego setki ofiar napelniał całe miasto uczuciem smutku i przerażenia.

Opis tej strasznej chwili podały już dzienniki całego świata. Do dziejowej karty ludzkości, zapisała się niezapomniana chwila tragicznej grozy, pełna wstrząsających wrażeń.

Tyle, tyle młodych kobiet w pełni sił i młodości nadziei, zginęło męczeńską śmiercią ognia!

Nigdy też nie zapomnę uczucia, doznanego na widok owych okrutnych zgłiszcz dymiących swędem ciał spalonych. Tego ścisnięcia serca i dusznej męki wywołanej jękami kobiet, mężczyzn i dzieci—jednej wielkiej rodziny nieszczęścia szukającej między niekształtnymi trupami zwłok ukochanych.

Zaista trzeba posiadać serce z granitu, aby nie ryknąć wielkim płaczem, razem z tym nieszczęśliwym tłumem, wyjąłym z bólu.

Spalony Bazar sklecony był z prostych desek.

Wzniesiony zaś jeszcze przed Wielkanocą służył jako teatr do przedstawień scenicznych Męki Chrystusowej, podczas Wielkiego Tygodnia. Mieścił się na dosyć obszernym pustym placu między murami wysokich domów i dotykał jedną częścią placu do tyłów hotelu du Palais.

To też na krzyki uciekających kobiet, pierwszy pośpieszył z pomocą kucharz hotelowy, i on to wraz z resztą służby ocalił przeszło sto kilkadziesiąt kobiet i dzieci od niechybnej śmierci.

Kucharz ten, nazwiskiem Julian Gaumery, w następujący sposób opowiedział jednemu z reporterów Figara straszną scenę ratunkową.

„Byłem właśnie w kuchni z moim pomocnikiem, zajęty przyrządzaniem poledwicy, kiedy usłyszałem zdaleka dolatujące jakieś krzyki. Z początku sądząc, że to uczniowie bawią się na pustym zazwyczaj placu, nie zwracałem szczególnej uwagi. Po chwili jednak zdjęci ciekawością w przypuszczeniu, że stało się coś niezwykłego, rzuciliśmy robotę, biegnąc do okratowanego okienka. zrobionego w ścianie izby przyległej do kuchni, a służącej nam za spiżarnię. Tutaj dopiero wszedłszy, na stojący pod oknem stół ujrzeliśmy przerażający widok. Drewniana szopa stojąca pośrodku placu płonęła wielkim słupem ognia i dymu. Po placu biegał tłum krzyczących kobiet. Jedne z nich trzymały na ręku dzieci tuląc je do siebie. Drugie wołały kogoś po imieniu. Inne targwały na sobie płonące odzienię. Wszystkie krzyczały!

Jedną z kobiet zobaczyłem trzymającą się sztaby naszego okienka, na szczęście umieszczonego nie wysoko, bo około półtora metra od ziemi.

Zobaczywszy nas w oknie przerażony tłum w jednej chwili utworzył zbitą masę pod murem domu. Widok był straszny!

Za pomocą młotków zaczęliśmy odrywać sztabę, u których całą siłą trzymało się kilka kobiet wołających ratujcie! ratujcie!

Znieczulone strachem, oszalałe z przerażenia, nie dały się oderwać od krat okna. Uderzenia młotem miażdżyły palce, krew bryzgała... Narazie sztabę ustąpiły, wyrwany mur rozprysnął się kalecząc twarze nieszczęśliwych. Czas był wielki. Zar i dym dusiły.

Pierwszą moją myślą było dostać się na plac i dopomóc do przechodzenia przez okno. Niepodobna jednak było tego uczynić, bo już w oknie okazały się głowy tych kobiet co rozpaczliwie trzymały się żelaza. Mój pomocnik rzucił w tłum krzesło, nadbiegła reszta służby

i przy jej pomocy, zmieniając się kolejno przez godzinę, wyciągnęliśmy do stu pięćdziesięciu osób na poły żywych. Dwie siostry miłosierdzia z płonącymi sukniami ostatnie pusty już plac opuściły. I one to dyrgowały ratunkiem podczas przeprawy ofiar przez mur okna.

Przez ten czas pożar dokończył dzieła zniszczenia. Nagle ustały jęki i krzyki. Pod gruzami palących się zgłiszcz, zaległa śmiertelna, okrutna cisza! Niestety nie miał już kto wołać ratunku.

Współczucie całej Europy towarzyszyło zmarłym ofiarom do grobu. Odprawiano za ich dusze solenne nabożeństwa. Niezliczone wieńce okryły ich trumny, a lzy prawdziwego współczucia zrosiły ich mogiły.

Dziś nawet po kilkunastu dniach ubiegłych od chwili katastrofy, Paryż nie odżył jeszcze dawnym życiem. Teatra, widowiska, wyścigi, a nawet publiczne miejsca spacerowe opustoszały, i zapewne dopiero napływ gości zbierających się corocznie wielką masą na *grand prix* wyścigowe, zatrze wrażeń pewnego przygnębienia, panujące jeszcze po nad stolicą Francji.

Kwiaty kosmopolitycznej sztuki, zakwitły już blisko od trzech tygodni w Pałacu Przemysłu na Polach Elizejskich. A chociaż tegoroczny Salon nie pozostawi głębszych śladów w historii sztuki, gdyż tak młodszych jak i starszych natężenie jakoś zawiodło, jednakże dobrych dzieł jest sporo. Z powyższych faktów sądząc ciekawem jest, kogo sędziowski komitet obdarzy honorami w tym roku.

Profesor Bouguereau, wystawił wcale nieudolne dzieło tak pod względem kompozycji jak i kolorytu i rysunku. Słowa ewangeliczne „Przyjdźcie do mnie strapieni, a pocieszę was“ posłużyły za temat do kompozycji zupełnie chybionej w charakterze.

Postać człowieka, uginającego się pod ciężarem moralnych i fizycznych cierpień, robi wprost śmieszne wrażenie, tak jest podobna do różowych okrągłych amorków zwykle odtwarzanych przez tego malarza.

Wprost przeciwnymi zaletami nacechowany jest obraz Hébert'a, zatytułowany „La Vierge au chasseur“, przedstawiający Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem Jezus patrzących na młodego strzelca trzymającego w rękę zabitego ptaka. Sądzę, iż nie wiele obrazów tak wysokiej artystycznej wartości jak ten, spotkać można w tegorocznym Salonie.

Dalej zwraca uwagę symboliczny obraz Henryka Martin'a nazwany: „Ku przepaści.“

Przedstawia on, na tle olbrzymiego pejzażu, grupę ludzi rozmaitego wieku i stanu, biegnących za postacią, młodej, pięknej, rozkosznie uśmiechniętej kobiety, osłoniętej przejrzystym woalem z gazy.

Postać kobiety symbolizuje zmysłową rozkosz ciągnącą ludzi do przepaści.

Pomimo banalności tematu, obraz wywiera na widzu głębokie wrażenie, wywołane doskonałą techniką i świetnym kolorytem.

Do lepszych obrazów tak pod względem wykonania jak i kompozycji, zaliczyć trzeba: *Zasłużony Flory Lavalley'a*. *Poezyę Suranda*, *Wiosnę Lamy'ego* i *Obląkanie Tytanii Gervais'a*. Szczególnie ten ostatni obraz pociąga niezwykle piękną postacią szekspirowskiej bohaterki.

Zwrócili też powszechną uwagę dwa studia panny Romani, włoski, *Donna Mona* i *Faustollo di Pistoia*.

Dwaj mistrze pędzla Henner i Roybet wystawili przesłiczne portrety. Pierwszy dwa portrety młodych dziewcząt ubranych jedna w ponosową drugą w niebieską suknię—drugiego pyszny jest portret Filipa Clusier.

Prześlicznym jest również portret pana Chaurchard'a właściciela olbrzymiego luvroskiego magazynu, wykonany przez Benamina Constant'a.

Wierne podobieństwo do oryginału, układ, rysunek i świetne wykonanie muszą zadowolnić najsurowszą krytykę.

Mistrzowski pędzel Leona Bonnat'a stworzył potężne dzieło. Jest nim portret Józefa Bertrand'a sekretarza francuskiej akademii nauk.

Do idealnie pięknych zaliczyć trzeba portret młodej dziewczyny w bieli, narzucony kilkoma różowymi tonami—wykonany przez Jules Lefebvre'a.

Podobnie piękną harmonią jasnych tonów można znaleźć w portrecie Bachet'a.

Detaille—po którym się spodziewano, iż wystawi duży obraz tego roku—dał maleńki obrazek przedstawiający *pogrzeb Pasteur'a*. *Wejście Jezusa do Jerozolimy* jest chyba najlepszym i najorginalniejszym dziełem Gérôme'a. Do znakomitych kompozycji, należy także słiczny obraz Struys'a, przed tytułem *la Consolation* (Pocieszenie). Wykonawcą tego dzieła jest młody belgijczyk, na którego utwory, od kilku lat zwrócono uwagę w Paryżu. Obraz przedstawia postać starego księdza przemawiającego do kobiety w smutku pogrążonej. Kompozycja i jej wykończenie stawiają obraz ten w dziale pierwszorzędny.

Polskich nazwisk jest kilkanaście w katalogu umieszczonych, trudno jest jednak z wyszukaniem dzieł tych artystów, po większej części źle umieszczonych. Do tych, co znalazły dobre pomieszczenie należą *Portret mężczyzny* wykonany przez Piątkowskiego, *Napoleon Chelmińskiego*, *Dryady profesora Gersona* i jeden z piękniejszych górskich krajobrazów Włodzimierza Nałęczca. Kilka innych obrazów polskich malarzy niepodobna mi było na razie odszukać.

Najpiękniejszym dziełem rzeźby w Salonie można nazwać *Poetę Falguier'a* i młodą dziewczynę zbierającą siano Boucher'a. Poeta Falguiera, to Apollon dosiadający pegaza z rozwiniętymi skrzydłami. W prawej ręce trzyma on złotą lirę, w lewej podniesionej gałąź wawrzynu.

Do wielkich, a udatnych kompozycji należą: pomnik Maupassant'a, wykonany przez Schwendis'ego i nagrobek dla pani Carvalho dzieło wyszłe z pod dłuta Mercier'a.

Naszyc rzeźbiarzy są: dwa biusty Dantego i Lisowczyka Jana Woydygi oraz popiersie wykonane przez p. Gersonównę.

Na tem zakończmy wędrowkę po Salonie, przynosząc się do przybytku sztuki na Pole Marsowe.

C. H.

(Dokończenie nastąpi.)

## Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu komisya miejska do spraw szkolnych, wniosła projekt o niedopuszczanie na stanowiska nauczycielek szkół miejskich kobiet zamężnych, tudzież o określenie wieku dla nauczycielek, mianowicie od 18 do 30 lat.

— Według ostatecznych danych, ogłoszonych przez „Praw. Wiest.“ ludność Państwa składa się z 64,616,280 mężczyzn i 64,594,833 kobiet. Najludniejsze miasta posiadają ludność następującą: Petersburg, 1,267,013, Moskwa 988,610, Warszawa 614,752, Odessa 404,651, Łódź 314,780, Ryga 282,943, Kijów 248,700, Charków 170,682, Tyflis 159,862, Wilno 159,568, Taszkient 156,506, Saratów 133,116, Kazań 131,508. Pod względem liczby ludności zajmuje Warszawa w Państwie trzecie miejsce, a Łódź piąte.

— Ministerjum oświaty pozwoliło na wprowadzenie w niektórych gimnazyjach południowych gubernii wykładów higieny dziecięcej jako przedmiotu nadobowiązkowego.

— Ministerjum rolnictwa, otrzymało podanie o otwarciu w Petersburgu szkoły rolniczej dla kobiet. Projektowane jest przyjmowanie do szkoły kandydatek, które ukończyły wyższe kursa żeńskie, lub średni zakład naukowy. Program obejmuje kurs nauk czteroletni.

— Wkrótce otwarta ma być w Warszawie fabryka rowerów na wielką skalę. Udział

w przedsiębiorstwie biorą przeważnie kapitaliści łódzcy.

Teatrzyki ogródkowe, rozpoczęły już swoją kampanię letnią. Teatr w Wodewilu pod dyrekcją M. Wołwskiego rozpoczął sezon w dn. 22 b. m. „Popychadłem“ Szutkiewicza, teatr Eldorado pod dyrekcją L. Dobrzańskiego „Grochowym wieńcem“ Małeckiego. W Belle vue gościć będzie trupa poznańska pod kierownictwem E. Rygiera, któremu Niemcy zabronili w ostatniej chwili dawania przedstawień w Berlinie. Przedstawienia operetki lwowskiej w cyrku na Ordynackiem rozpoczyna się dn. 29 b. m.

Pewien przedsiębiorca budowlany wystąpił z propozycją budowy nowego teatru zimowego z warunkiem, iż dyrekcja teatrów zawrze kontrakt na lat 15 z płacą komornego w wysokości 10,000 rs. rocznie. Teatr mieścić ma 1,500 widzów i wzniesiony będzie według wskazówek i żądań dyrekcji teatrów. Jeżeli układ dojdzie do skutku, nabywa przedsiębiorca w tym celu plac przy rogu ul. Długiej i Nalewek.

W sferach miarodajnych poruszona została kwestya dotycząca demoralizującego wpływu totalizatora na masy; projektowane jest zniesienie zupełne totalizatora na wyscigach w obrębie całego państwa.

Dnia 18 b. m. odbyła się w Paryżu uroczystość pogrzebana zwłok zmarłego tak smutną śmiercią ks. Aumale. Olbrzymia świątynia św. Magdaleny nie była w stanie pomieścić tłumów, pragnących oddać ostatnią posługę głowie domu Orleańskiego. W uroczystości pogrzebowej wzięła udział znaczna liczba najwyższych dostojników państwowych.

Ostatni jednodniowy spis ludności dostarczył ciekawych danych, dotyczących Królestwa Polskiego. I tak największą w całym państwie w stosunku do wiorsty kwadratowej ludność posiadają: gubernie piotrkowska, gdzie na wiorstę przypada 180,7 dusz i warszawska, z ludnością 125,8 dusz na wiorstę kwadratową. Z miast w państwie największą przewagą kobiet nad ludnością męską odznacza się Kalisz, gdzie na 100 mężczyzn przypada 116 kobiet.

Dnia 20 b. m. otwarta została w salach Muzeum przemysłu wystawa introligatorska. Wystawa ta prócz okazów przemysłu introligatorskiego zawiera bogaty dział historyczny. Otwarcia wystawy dokonał J. O. Ks. Imeretyński w asystencji dostojników wojskowych i cywilnych.

We Lwowie otwartą zostaje z dn. 1 października b. r. staraniem miejscowych artystów-malarzy p.p. Juliusza Makarewicza i Aleksandra Augustynowicza szkoła rysunku i malowania z natury dla kobiet, a w miarę zgłoszeń i dla mężczyzn. Założyciele mają nadzieję, że kursa te rozwiną się z czasem w szkołę malarską dla kobiet, której brak oddawna dawał się u nas uczuwać.

Inżynierowie znakomitego zakładu mechanicznego „Fives Lille“ w Lille zajęci się budową promu elektrycznego, przeznaczonego do przewozu całych pociągów z brzegów francuzkich do angielskich i z powrotem.

W Poznaniu staraniem pań z miejscowej arystokracji powstało przytulisko św. Jadwigi dla dziewcząt pracujących w mieście dla zarobku, celem zabezpieczenia ich od pokus.

## MYSLI DEOTYMY.

Czemu się dziecię rwie do światła we śnie,  
Gdy nieswiadomość tak miękkim wezgłowiem?  
Czemu, pytacie? Choć najpóźniej powiem,  
Jeszcze rzekniecie: „Za wczesnie!“

Najtrwalsze takie szczęście o którym nikt nie wie.

I w miłosierdziu bywają wysoki zakrawające  
na zbytek; rozkosze nadetatowe, których tylko  
najszczęśliwsi mogą sobie pozwolić.

Kto nie posiada Golkondy, ten musi nieraz bro-  
nić się od współczucia, jakby od pokusy.

Szczęście Bóg daje, a szatan—przysze! —

Poezya buja po smugu,  
Co się rozślaca i kwieci —  
To też od wieków—poeci  
Lirę wspierali na pługu.

Błogosławione wieki które zrozumieją,  
Że wiedza świat ocali, gdy wszystkim zaświeci.

Mądrość wieczna, mądrość boża,  
Jest postępu narzeczona—  
Mądrość—to tyranii wróg,  
Mądrość jest bóstwa koroną,  
Mądrość—to w człowieku Bóg!

Szatan z spiekłemi oczyma,  
Ludziom—tylko dwóch zazdrości  
Ogniów, których w piekle nie ma,  
Tylko słońca i miłości.

Gdy się ostatnie lnu wysnuły szlaki,  
Pan rzekł do prządki: — „W płaszcz utkam len  
Jaki uprządałś sobie w czasie taki, [twój—  
Na wieczność przywdziejesz strój.“

Wiek sędziwy! smętnie się uśmiecha  
W tobie—wspomnienie i znajomość losów;  
Dumas, bo w dwa się już wsłuchujesz echa:  
W ostatnie—ziemi, a w pierwsze niebiosów.

Anioł wziął *łańcuch—miłość powinności*;  
Szatan dorzucił *kości namiętności*...  
Szala się chwieje—a szatan się śmieje.  
Lecz anioł składa *orle skrzydło* w bieli:  
*Skrzydło modlitwy*, która działa cuda!  
Szatan w swą wagę wlał *wody*: to *nuda*...  
Waha się szala—ufajcie anieli.

Wnet anioł *topór*: znak *pracy* dokłada;  
Szatan przynosi *osłonki na rany*,  
To godło *chorób*, w których spi śmierć błada.  
Bolesć przeważa—radość wam, szatany!

Anioł wziął *szmaragd w nadziei* kolorze,  
Szatan *rozpaczy sztylet* zakrwawiony—  
I tak się wagi chyła w jego stronę.  
Lecz anioł złożył *cierniową koronę*:

To *rezygnacja*—ufność mimo nieba;  
Szatan, drząc, spuścił oczy zadziwione,  
Bo zrównoważyć mu swą szalę trzeba,  
A już nic nie ma.

Ludzie prawdziwie rozumni o niczem nie śmieją  
ostatecznie wątpić.

Człowiek wyższy bywa zawsze pokornym,  
w granicach swojej wiedzy rozbiiera i sądzi, ale  
po za temi granicami zawiesza sąd i czeka.

Jeżeli stopą olbrzymia,  
Modlitwy gromolotnemi  
Chcesz stanąć za niebios progiem—  
Wspomnienia zostaw na ziemi.  
Ten tylko zleje się z Bogiem,  
Kto, jak Bóg, przeszłości nie ma!

Widzę stalaktyt, w którego przezroczy  
Tęcza wszech uczuć przyzmatowo drga...  
Niebios sklepienia z ziemią on jednoczy —  
Tym stalaktytem—jest iza.

Im więcej kwiatów błyszczy w tej dąbrowie,  
Tem więcej jesień owoców z niej czeka;  
Im wyższa mądrość wstąpi w myśl człowieka,  
Tem więcej człowiek za życie odpowie.

Dwoma znaki potężnemi  
Człowiek się wywyższyć może:  
Gienjuszem—zdobyć hołd ziemi,  
Świętością—natchnienie boże.  
Gienjusz na tłum ziemian działa,  
Świętość wybranych natchnęła —  
Gienjusz stworzył arcydzieła;  
Świętość cuda wywołała.

Nie idź tą modlitwy drogą,  
Gdzie jej tony same brzmią;  
Nieba słuchać jej nie mogą,  
Jeśli czyn nie zabrzmi z nią.

Mysł tęskna dwóch potęg słucha:  
*Rozum* pojmie czem świat—mara...  
Lecz za światem tylko *wiara*  
Echem prawdy brzmi dla ucha.

Przecucie—wieków ogniwem,  
Przecucie—kluczem poety,  
Przecucie—mędrców podziwem,  
Przecucie—skarbem kobiety.

Szczęśliwi mędracy, których badanie  
Wiedzie do wiary. Niech jak Pan w niebie  
Wiara na ziemi Trójcą się stanie:  
Wierz w Boga, ludzi i w siebie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza-  
się: arkusze 1-szy T. I, powieści . t. *Marzenie*,  
przez Flor. Marryat. Przekład z angielskiego

**Treść:** Na stepie, przez Bolesława Leśmiana.—Sobieski pod Wiedniem (przez Deotymę), przez K. Glińskiego.—Na łasce Powieści przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg).—Tak być musi.... przez Marcelego Strzemięczyka.—Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego.—Sprawa kobiet na gruncie galicyjskim, przez Janinę S. Aleksotę.—Nowiny paryzkie, przez C. H.—Z bieżącej chwili.—Myśli Deotymy.

**Dodatek obejmuje:** *Marzenie*, powieść przez Flor. Marryat. Arkusz 1 T. I. Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.